Nr. 11. Lwów, dnia 18. maja. Rok 1907.

CHWILA
TYGODNIK ILUSTROWANY

Prenumerata wynosi:
Rocznie . . . . 5 K. — h.
Półrocznie . . . . 2 „ 60 „
Kwartalnie . . . . 1 „ 40 „

Wychodzi co soboty.
Numer pojedynczy . . . . **5** ct. (10 hal.)
Na prowincyi . . . . **6** ct. (12 hal.)

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WE LWOWIE,
RYNEK L. 44. I. PIĘTRO.

Samobójstwo przed oknem kochanki.



Od Administracyi.

Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty. Wynosi ona rocznie z przesyłką do domu 5 koron, półrocznie 2 K. 60 hal., kwartalnie 1 K. 40 hal.

Adres Administracyi: **Lwów, Rynek l. 44, I. piętro.**

M. W.

Baba Motra.

III.

Krzyż był prostej, ciesielskiej roboty, od siekiery, nie było na niem żadnego znaku męki pańskiej, tylko na pionowem drzewie w kilkułokciowej wysokości od ziemi, niewprawną ręką była wyrzeźbiona trupia głowa, spoczywająca na dwóch kościach goleniowych, a ponad nią trzydzieści czarną, spłowiałą farbą zrobionych punktów, wielkości trojaka, oznaczających 30 srebrników Judasza.

Miejsce to, dobrze znane podróżnym, nazywano Kapłyczką, była to poprostu studnia przy drodze na stepie, nad nią ktoś własną ręką zbudował kapliczkę, którą pobożność ludu ozdobiła kilkunastu licho malowanemi obrazami, a dziewczęta ukwieciły obrazy i obwieszały je pięknie ręcznikami.

Przy studni i kapliczce rosly dwie olbrzymie rosochate grusze, w cieniu których spoczywali zawsze zmęczeni i spragnieni podróżni.

Już dobrze z południa orszak podróżny rozlokował się pod gruszami. Na wszystkich twarzach znać było jakieś milczące pognębienie. Zanim jeszcze usiedli na ziemi, wyciągnął któryś z podróżnych glinianym dzbankiem wody i po kolei wszystkich obdarzył. Kto miał co do zjedzenia, wydobywał z torby podróżnej i jadł. Wszyscy spoczywali, nie spoczywala tylko Motra, dała dzieciom po kawałku chleba, a sama poszła w step uzbierać suchych bodiaków i trawy, aby było przyczem kuleszu zgotować dla męża i dzieci. Dzieci pokładły glowy na kolanach ojca i z chlebem w ręku, do połowy zjedzonym posnęły. Zmęczenie głód przemogło. Zamyślony i zasępiony siedział na ziemi Kałenyk i z bólem, schowanym głęboko, martwym, powolnym wzrokiem wodził po dalekiej bezludnej okolicy, niekiedy zatrzymując spojrzenie swoje na śpiących dzieciach. Długo patrzył się w ich blade, zmęczone twarzyczki, pokryte kurzem i potem, i znowu wzrok zagłębiał w sobie samym.

Nadeszła Motra, nalała wody i powiesiła kociołek, rozłożyła ogień w milczeniu i zamyśliła się także.

W duszy jej walczyły dwa uczucia, dwie mysli: miłość dla męża i niepewność. Nie chciała przypuścić, ażeby ten, którego znała i kochała od dziecka, z którym przeżyła kilka lat w spokoju i pracy, którego każdą myśl najskrytszą znała, aby ten człowiek pokalał swoją duszę i ręce krwią niewinną. Zły duch podszeptywał jej czasem zwątpienia: a może... ludzie mówią, że widzieli go, jak uciekał.

Wtedy żal czuła do niego... Na cóż mnie kochał tak długo, na co brał mnie za żonę, kiedy ze zbrodnią nosił się w duszy — po to tylko, aby mnie i dzieci zaprzepaścić na wieki? Łza błyszczala w jej zamyslonem oku, a żal wielki ściskał nabolałe serce. Ale kiedy rzuciła wzrokiem na zasępionego, jak orzeł, męża, na spiące u jego kolan dzieci, zwątpienie opuszczało ją. Nie, to nie on.

On przecież kocha i mnie i te dzieci, czyż on mógłby być zabójcą, wiedząc o tem, że krew niewinna spadnie kiedyś karą na jego dzieci.

Mimowolnie wzrok Kałenyka spoczął na krzyżu, poczerniałym od słońca i deszczu, na srebrnikach Judasza, potem powoli spojrzał na śpiące dzieci.

— Biedne wy, ptaszęta moje, któż was karmić będzie?.....

I wzrok błyszczący obrócił do Motry.

— Motro! nie daj im zginąć..... może Bóg da, że mnie uwolnią, że zbójcę odkryją, wrócę do was, a teraz ty sama pamiętaj o wszystkiem...

Motra płakała. Zdawało się jej, że ktoś koło niej śmiał się, że jej szeptał do ucha: nie wróci, nie wróci...

Odpoczęli wszyscy, przedrzemali i kulesz już się ugotował. Dzieci i Motra ostatni raz zasiedli z ojcem kolo kościółka. Zjedli kulesz i poszli do Humania. Już późnym wieczorem zastukano do bram więzienia, stojącego jakby na straży na skraju miasta w osamotnieniu.

Wysokie blado-żółte jego mury odbijały się wyraziście na dalekiem, ciemnem tle stepu. Gdzieniegdzie jeszcze z poza krat połyskiwał czerwony promień światła: widać, że już spali wszyscy, a dalekiem echem płynęły i odbijały się na stepowej równinie nawoływania szyldwacha, przeciągłe, monotonne: słu-u-uszaj.

Przez furteczkę w bramie, zegiąwszy się, przecisnął się Kałenyk, i tylko słychać było zgrzyt zasuwających się żelaznych rygli. Motra została z dziećmi za bramą. Boleść, żal, smutek tak ją pognębił, że stała, jakby zmysły traciła nieruchoma. Daleko połyskiwały ognie miasteczka, czasem doleciało urwane szczekanie psa lub od stepu śpiew pastuchów. Trzeba było dwie głowy dziecięce, które tuliły się przy niej, gdzieś do spoczynku ułożyć.

Do miasta nie miała iść po co, bo nie było czem płacić za nocleg. Rosa zwilżyła trochę ziemię i trawę, dzieci drżały od chłodu i płakały poraniwszy sobie nogi o trawę i bodiaki. Motra zdjęła z ramion torbę, położyła na ziemię, rozesłała świtkę jedyną, jaką miała ze sobą i dzieci ułożyła do spoczynku; głowy ich oparła o torbę, a drugą połąwą świty przykryła. Sama tuliła się kolo nich na skraju.

Leżała, ale spać nie mogła. Myśli pląłały się jej w głowie: to myślała o biednym mężu, którego zły los w mury więzienne zapędził, to o swojej przyszłości i dzieciach. Nie czuła ani głodu, ani zimna, boleść głuszyła wszystko.

Poczęło świtać. Zaszczebiotały skowronki. Słychać było wyraźniej głosy ludzkie, nawoływania, ryk bydła. Mgła, jak dym błękitnawy, ścieliła się po równinie stepowej. Zdawało się, że mgła ta dusiła ją, cisnęła jej piersi kamieniem.

Oj nie dus tumaneczku.
Tumaneczku bracie. ...

Obudziły się dzieci, posiadały na ziemi i rozglądały się ciekawie po nieznanej okolicy. Motra wpatrywała się w kraty więzienne; zdawało się jej, że tam za kratami stoi jakaś biala postac i wabi ją. Zostawiła dzieci i poczęła zbliżać się do więzienia. Za kratami poznała męża...

— Idź do domu! — wołał. — Jak jest Pan Bóg na świecie, to jest i prawda...

Ledwie dosłyszała ostatnie słowa kiedy pomiędzy nią a głową męża błysnął bagnet żołnierza.

— Nie wolno mówić! — precz, bo wystrzelę...

Motra cofnęła się, ale wślad za nią rozległo się jeszcze wołanie Kałenyka:

Strzeż się Ułasa, bo to zły człowiek!

Motra wróciła do legowiska. Wyjęła z torby po kawałku chleba dla dzieci, ubrała się, przeżegnała więzienie i siebie i poszła stepem. Szła i obracała się w tył, oglądała się na mury więzienne, na okna zakratowane, gdzie bielała jeszcze postać męża. Odeszła daleko, już tylko w miejscu okien i krat widać było czarne punkty, i kiedy się tak wpatrywała w nie, echo stepowe powtórzyło jej cicho ostatnie słowa męża:

— Idź do domu...

Wróciła do domu. Trzeba było wracać do gospodarstwa do chaty. Kałenyk został na łasce losu i sprawiedliwości.

Kto był winien śmierci Semena, niewiadomo. Dość, że wszelkie poszlaki wyraźnie wskazywały Kałenyka; sąd poszedł za temi poszlakami i skazał go do ciężkich robót, a potem na osiedlenie na sybirze. Kiedy wysłano Kałenyka? Nikt nie wiedział. Ktoś z ludzi Najowieckich, co był przypadkiem w Humaniu, przyniósł jej wieść od męża: prosił Kałenyk Motry, ażeby do niego nie przychodziła, aby pilnowała gospodarstwa i domu: wkrótce potem rozeszła się po wsi głucha wieść, że Kałenyka wysłano na Sybir... Wieść ta legła jakąś pieczęcią przekleństwa na pozostałej rodzinie zabójcy; wszyscy odsunęli się od niej jak od zapowietrzonej. Przyszło ubóstwo i zmartwienie — zwykli towarzysze ludzkiego życia. Nie pytano, iż męża niema, że robić nie ma komu, ciągniono Motrę na pańszczyznę, a w domu zostawało dwoje dzieci, nie było komu ich dopilnować, jeść dla nich ugotować. Póki było ciepło, dzieci chowały się po burzanach, pod płotkami sąsiednich sadyb, żywiły się dzikiemi gruszkami — gniłkami rosnącej nad rowem olbrzymiej gruszy, lub kradzionemi kartoflami z sąsiednich ogrodów. Wieczorem dopiero wracała matka i dzieci zagłodzone, blade, zgłodniałe, jak młode wilczęta, przychodziły do chaty na wieczerzę, składającą się z jaglanego krupniku i jęczmiennego chleba. W zimie tuliły się na piecu w kącie, chroniąc się od chłodu w stare łachmany kożucha.

550-letni jubileusz.

Niezwykłą uroczystość święciła w niedzielę korporacya szewska miasta Lwowa. Była to uroczystość 550-letniego istnienia szewskiego cechu we Lwowie i poświęcenia nowego sztandaru na pamiątkę jubileuszu. 550 lat cichej skupionej pracy po warstatach! 550 lat pracy w życiu publicznem mieszczaństwa, w którem cech szewski chlubną odegrał rolę. Zaiste piękna to uroczystość. Chwila ta, przywodząca na pamięć świetny niegdyś rozwój rzemiosła szewskiego, zaskoczyła tych pracowników w czasach ekonomicznie bardzo dla nich ciężkich To też uroczystość jubileuszu była niejako hasłem, rzuconem im przez ich świetną przeszłość do łączności, a nowy sztandar powiedzie ich zwycięsko w walkę, do której wszyscy przystępują z iście „szewską pasją“.

Uroczystość była niezmiernie okazałą. O godzinie 9-tej rano z ratuszowego podwórza ruszył pokaźny zastęp szewców, oraz reprezentantów wszystkich lwowskich cechów, delegatów z prowincyi na czele z muzyką „Harmonii“ do katedry. Po wysłuchaniu uroczystej mszy odprawionej przez ks. kanonika Ślusarza i kazania wygłoszonego przez ks. Bryczkowskiego, ks. arcybiskup Bilczewski przemówieniem ze stopni ołtarza rozpoczął uroczystość poświęcenia sztandaru.

Następnie odbył się akt uroczystego wbijania gwoździ. Po odbytej uroczystości uczestnicy z rozwiniętym sztandarem i muzyką na czele udali się do sali ratuszowej, gdzie po przemówieniu p. Szustera, p. Wlach, wręczył prezydentowi miasta sztandar, który w krótkich słowach wezwał szewców do obrony przemysłu krajowego, poczem sztandar oddał w ręce przewodniczącego korporacyi p. Patlikowskiego. Ten imieniem szewskiej korporacyi podziękował prezydentowi Ciuchcińskiemu za trudy w komitecie uroczystości, w którym był przewodniczącym. Teraz chór odśpiewał kantatę okolicznościową kompozycyi p. Martyniaka do słów Koncikowskiego. P. Szuster przemówił raz jeszcze dziękując delegatom za przybycie. W końcu majster Czorni po rusku przemówił, wzywając rękodzielników obu narodowości do łączności i zgody. Po uroczystości odbył się bankiet w sali tow. „Gwiazdy“.

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz dnia 13-go b. m. odbył się we Lwowie wiec majstrów szewskich ze Lwowa i z prowincyi. W wiecu wzięło udział około 100 uczestników, nadto niektórzy kandydaci na posłów do Rady Państwa, radca Magistratu p. Fischer i lustrator przem. dr. Schöneth.

Zebranych powitał prezyd. p. Ciuchciński. Przewodniczyli: przełożony cechu szewskiego p. Pawlikowski i p. Wotowicz z Brodów. Odczytano szereg telegramów od korporacyi szewskich z naszego kraju, poczem obszerny referat na temat dostaw dla armii wygłosił p. M. Wlach. Nad rezolucyami, postawionemi przez referenta, wywiązała się obszerna dyskusya; rezolucye zostały uchwalone.

Na podstawie referatu p. J. Florscha, opartego na cyfrach i przykładach, uchwalono rezolucyę, uznającą potrzebę mianowania kierownikami szkół szewskich majstrów szewskich odpowiednio wykształconych, zasięganie przezWydział krajowy opinii korporacyi szewskich w sprawach szkolnictwa i pomnożenia szkół szewskich,

Następnie p. D. Schuster przedłożył rezolucyę, żądającą przyspieszenia sprawy ubezpieczenia majstrów na starość i na wypadek niezdolności do pracy, oraz nadania tej instytucyi charakteru autonomicznego, opartego na ustawie ramowej państwowej. Rezolucyę uchwalono

Obszerny referat p. J. Chmielowskiego zakończyły rezolucye, uznające potrzebę podnoszenia zawodu szewskiego przez kształcenie się i poprawę ekonomicznego bytu przez centralizacyę itd. Wiec zakończyło przemówienie przewodn. p. Patlikowskiego.

Dla matek i wychowawców.

Leczenie złych skłonności, złych popędów, żądz, nawyknień i nałogów.

XI

Zazdrosny.

Zazdrosny jest zazwyczaj sobkiem, egoistą, któremu się zdaje, że jemu wszystko się należy, a drugim bardzo mało albo wcale nic.



WIEC MAJSTRÓW SZEWSKICH WE LWOWIE.

Zazdrosny bywa zazwyczaj próżniakiem, ale posiada dość sprytu. Chorobliwy sposób myślenia obok wrażliwości wyobraźni przywodzi przed jego oczy ten sam obraz rzekomych jakichś, a nawet utopijnych krzywd, wyrządzonych mu przez otoczenie bliższe i dalsze. Bywa on nieprzychylny i nieżyczliwy dla drugich, powodzenie drugich ból mu sprawia i zdaje mu się, że w chwili zabłyśnięcia drugiej jakiejś gwiazdy, zblednie przy niej światło jego gwiazdy.

Zazdrosny ma dla drugich więcej pogardy, aniżeli szacunku, lubi się oburzać nadmiernie, miotając przytem słowa nienawiści — nie zwykł też nigdy przyznawać okoliczności łagodzących przeciwnikowi.

Pozbawiony lepszych uczuć, nie przebiera w środkach do usunięcia przeciwnika z areny, przemyśliwa on nad sposobami poniżenia i pokonania go, używa podstępu oraz najróżnorodniejszych oszczerstw. Ujrzawszy coś ujemnego w koledze, zabawia się w donosiciela, bo tym sposobem chce podnieść swoje własne ja. — Słów nie starczyłoby, gdyby się chciało wyliczyć sztuczki i kruczki oraz skreślić drogi i najbardziej kręte ścieżki, któremi zazdrość chodzić zwykła; wystarczy zakonkludować stwierdzeniem, że biblia już wspomina o bratobójstwie, dokonanym z prostej zazdrości.

Skłonność ta, czysto zwierzęca, jest jedną z tych złych skłonności, którą się napotyka od najwcześniejszej młodości, bo i zwierzęta ją posiadają.

L e c z e n i e. Leczenie jej nie jest tak łatwą rzeczą, jakby się na pozór wydawało. Nie tak łatwo napotkać na świecie człowieka niezazdrosnego. Od chaty wieśniaczej po pałace magnatów i dwory panujących, nie mówiąc już o stosunkach służbowych we wszelkich dykasteryach, zazdrość dokonała niejednej ruiny całej rodziny, niejednego pod najróżnorodniejszymi pozorami pozbawiła stanowiska, niejednego ogołociła ze czci, wiary i mienia i popchnęła w końcu do grobu lub popchnęła na drogę samobójstwa.



JAKÓB BOJKO
poseł do Rady państwa.

Gdy owa pełna ohydy skłonność polega na fałszywych uczuciach, bo na uczuciu egoistycznem, leczyć ją można jedynie przez budzenie uczucia altruistycznego t. j. miłości bliźniego w najszerszem tego słowa pojęciu, jak je pojmuje religia chrześcijańska, nakazująca „kochać Boga nadewszystko, a brata bliźniego, jak siebie samego“.

Wychowawca usilnie będzie się starał o to, aby wychowankowi daną była sposobność poznania przyjemności, jaką się ma, gdy można drugich uszczęśliwić, a uczucie tej rozkoszy duchowej, nie tylko nie pozwoli mu być zazdrosnym, ale mu każe gardzić wszystkiem, coby go mogło narazić na utratę tej przyjemności.

Na tym typie zamykamy szereg typów, u których dominują złe skłonności i przechodzimy do omówienia 1) złych popędów, 2) złych żądz, 3) złych nawyknień i 4) złych nałogów.

Zastanowimy się więc ad 1) nad drażliwością, popędliwością, gniewem, złośliwością i wścibskością; ad 2) nad łakomstwem i pożądliwością; ad 3) nad skrytością, szyderstwem i cieszeniem się z cudzego nieszczęścia oraz gburowatością; ad 4) nad pychą, kłamstwem, obłudą, pochlebstwem, przebiegłością, nieuszanowaniem cudzej własności (kradzieżą) surowością i dzikością.

(C. d. n.



KOTKA KARMIĄCA ZAJĄCA.

WŁODZIMIERZ SULIMA POPIEL.

Credo.

Dałeś mi Panie dość mocy do lotu
Na skrzydłach marzeń, po niebios błękicie,
Ale do pracy wśród trudu i potu,
Dałeś moc większą, o wczesnym już świcie.
Na drodze kwiatów od samej młodości,
Nie znałem bólu, co piersi wciąż krwawi,
Nie znałem fałszu — ani ludzkiej złości,
Ani tęsknicy, co serce tak trawi.
Na horyzoncie zawsze mi jaśniały —
Różane brzaski — powstające zorze,
A oczy moje nigdy nie widziały
Najmniejszej chmurki o żadnej dnia porze.
Więc szedłem z wiarą niezachwianą w [Ciebie —
W Twą łaskę świętą — szczęśliwy przez [życie,
Marzyłem sobie o gwiazdach na niebie,
O szczęsnej doli i słonecznym bycie.

— — — — — — — — — —

Ty nie chcesz Panie dziś mojej zatraty,
Lecz mie doświadczasz dłoni świętej mocą,
Bo znikły teraz me zorze i kwiaty —
Po których szedłem z ufnością dniem — nocą.
Me horyzonty oblekły się w chmury,
Zakryły słonko — jasności ni cienia;
Płomienne zorze już zaszły, za góry,
Przedemną kwiaty warzą śmierci tchnie- [nia...
Drogą nieznaną—w krąg ciemność nademną—
Stąpasz przed siebie przez osty i głogi,
Przez skalne szlaki, drożyną tejemną,
Idę — i srodze ranię sobie nogi.
Wysilam teraz w ciemnościach wzrok cały.—
A ból serdeczny do oczu łzy ciśnie;
Lecz ufam szczerze, że ciemnych chmur [wały
Ustąpią jeszcze i zorza zabłyśnie.

— — — — — — — — — —

O daj mi Panie chwilę taką jedną —
Jaką przeżyłem w mojej wczesnej wiośnie,
Niechaj nademną chmur wały przerzedną
I promyk słonka zaświeci radośnie.
Że tym — coś słońce zaciemnił chmurami,
Dasz chwilę jasną, ufam zawsze Panie,
Że drogę życia zasiejesz kwiatkami —
Rozniecisz zorze i dasz... Zmartwych- [wstanie!

Nowy Targ 1907.

FRANCISZEK COPPÉE.

Kawałek chleba.

Młody książę de Hardimont znajdował się w Aix w Sabaudyi, dla kuraryi sławnej swej klaczki *Périchole*, kaszlącej bardzo od ostatniej Derby, na których się zaziębiła, i kończył właśnie śniadanie, gdy rzuciwszy wzrokiem niedbale na rozrzucone dzienniki, wyczytał w nich wiadomość o porażce pod Reichshoffen.

Dopił kieliszka wonnego likieru, położył serwetę na stole restauracyjnym, rozkazał służącemu zapakować kufry i w dwie godziny później jechał pociągiem pospiesznym do Paryża. Stanąwszy na miejscu, udał się bezwłocznie do biura wojennego, aby się zapisać w szeregi walczących. Daremnie od dziewiętnastego do dwudziestego roku pędziło się denerwujące życie zdechlaczka — jak wówczas mówiono — daremnie upadlało się umysł w stajniach wyścigowych i budoarach operetkowych śpiewaczek: są okoliczności, w których nie można zapomnieć, że Enguerrand de Hardimont zmarł z zarazy w Tunisie, w tymsamym dniu, co św. Ludwik, że Jan de Hardimont prowadził hufce pod rozkazami Du Guesclin'a, a Franciszek Henryk de Hardimont zginął pod Fontenoi. Jakkolwiekbądź wiele życia wyssały z Henryka de Hardimont skandaliczne i ogłupiające jego miłostki z Lucy Violette, prima-donną teatru Nudités-Parissiennes, mimo to jednakże młody książę, dowiedziawszy się, iż Francuzi na ziemi francuskiej bitwę przegrali, uczuł na twarzy palący rumieniec, jakgdyby go znieważono policzkiem.

Dlatego też w pierwszych dniach listopada 1870 roku, powróciwszy do Paryża z pułkiem, należącym do dywizyi Vinoy, Henryk de Hardimont, strzelec trzeciej kompanii drugiego pułku i członek Jockey-klubu stał na warcie ze swą kompanią przed redutą Hautes-Bruyéres, naprędce ufortyfikowaną, a osłanianą przez armaty fortu Bicêtre.

Ponura to była miejscowość: droga zarosła nędzną olszyną, przerznięta głęboko wyżłobionemi w błocie kolejami, ciągnęła się wzdłuż pól podmiejskich, a przy tej drodze stała opuszczona karczma, otoczona niegdyś altanami, zajęta obecnie na stanowisko żołnierzy. Walczono tam przed kilku dniami; kule poprzecinały na dwoje niektóre z przydrożnych drzew, a na ciemnej korze innych widniały blizny od strzałów. Na widok domu dreszcz wstrząsał; dach przedziurawiła bomba, ściany, zlane winem, wydawały się jakby krwią zbryzgane. Altany poniszczono, kręgle porozrzucano; mokre zaś liny huśtawki, ciągle skrzypiące, jak również podrapane od kul napisy przy drzwiach: Gabinety, Absynt, Piołunówka, Wino 60 cent. litr, otaczające zabitego królika, wymalowanego ponad dwoma bilardowemi kijami, złożonemi na krzyż i przewiązanemi wstążką: wszystko to przypominało, z okrutnem szyderstwem, ludowe uciechy ubiegłych dni świątecznych. Ponad tem wszystkiem wznosiło się sklepienie brzydkiego zimowego nieba, po którem przeciągały ciężkie ołowiane chmury. Wydawały się one tak, jakby wisiały tuż ponad ziemią, a wyglądały przykro-złośliwie.

W drzwiach karczmy stał młody książę z karabinem przewieszonym przez ramię, z czapką nasuniętą na oczy, ukrywszy zdrętwiałe od zimna ręce w kieszeniach czerwonych spodni i drżąc w krótkim kożuszku. Żołnierz pobitej armii, pogrążywszy się w ponurych dumaniach, patrzył z boleścią na szereg wzgórz, ginących w mgle, zkąd co chwila rozlegał się huk strzału i wznosił biały dym, z ziejących paszcz dział Kruppa. Nagle uczuł głód.

Przykląkł i z tornistra, leżącego przy nim pod ścianą, wyjął kawał żołnierskiego chleba, a ponieważ zginął mu był nóż, jadł więc książę pan ten chleb żołnierski, odgryzając kawałki zębami.

Zaledwie ukąsił parę razy, miał już dosyć; chleb bowiem był twardy i gorzki. I powiedzieć, iż nie będzie się miało świeżego, aż dopiero nazajutrz przy rozdawaniu racyi i to jeszcze jeżeli się to podoba intendenturze! Ciężki był niekiedy ten zawód żołnierski i oto przypomniał sobie teraz, jakie to niegdyś spożywał hygieniczne, jak je nazywał, śniadania, gdy po zbyt sutej kolacyi zasiadał około południa dnia następnego przy parterowem oknie w Café Anglais i kazał sobie podać — ot tak coś lekkiego — kotlecik, jajka sadzone na łebkach szparagowych, a piwniczny, znający jego przyzwyczajenia, odkorkowawszy ostrożnie, stawiał na obrusie srebrny koszyczek z leżącą w nim butelką starego wina. — Do stu bomb i kartaczy! Dobre to były czasy i nie przyzwyczaję się nigdy do tego nędznego chleba.

Zniecierpliwiony, rzucił resztę chleba w błoto.

* * *

W tej samej chwili z karczmy wychodził szeregowiec z piechoty; pochylił się, podniósł chleb, a oddaliwszy się parę kroków, obtarł go rękawem i zaczął chciwie zajadać.

Henryk de Hardimont wstydził się już swego postępku i przypatrywał się z litością biedakowi, dającemu dowód tak dobrego apetytu. Był to chłopak wysoki, cienki, źle zbudowany, z oczyma gorączkowo błyszczącemi i nieogoloną brodą, a tak wyhudły, iż przez wytarty mundur widać było sterczące łopatki.

— Tak ci się jeść chce, kolego? — zapytał Henryk de Hardimont, zbliżając się do żołnierza.

— Jak widzisz, — odparł tenże mając usta zapchane chlebem.

— Przepraszam cię więc. Gdybym był wiedział, że ci się nim mogę przysłużyć, nie byłbym go rzucał na ziemię.

— Nic nie szkodzi — odrzekł piechur. — Nie brzydzę się wcale.

— Bądź cobądź — mówił dalej książę, — źle uczyniłem i wyrzucam to sobie. Ale nie chcę, abyś miał o mnie złe wyobrażenie i ponieważ mam w manierce stary koniak... więc, do licha! wypijemy razem.

Piechur ukończył swą czynność. Książę i szeregowiec napili się razem z manierki; znajomość była zrobioną.

— Jakże się nazywasz? — zapytał żołnierz z piechoty.

— Hardimont — odrzekł książę, opuszczając umyślnie tytuł... A ty?

— Jan — Wiktor... Właśnie tylko co zapisano mnie do tej kompanii... Wychodzę z ambulansu.. Ranny byłem pod Châtillon... Ach! jak tam dobrze było w lazarecie! Dawali taki doskonały rosół z końskiego mięsa... Ale cóż! Lekko tylko byłem draśnięty; major wypisał mnie ze szpitala i znów rozpocznie się zdychanie z głodu... Bo, wierz mi, jeżeli chcesz, kolego, ale tak, jak teraz patrzysz na mnie, głodny byłem całe życie.

Straszna to było słowo wyrzeczone do rozkosznika, który przed chwilą właśnie myślał z żalem o dobrej kuchni Café-Anglais: więc też książę de Hardimont spojrzał na towarzysza ze zdziwieniem równającem się niemal przerażeniu. Żołnierz uśmiechnął się boleśnie, ukazując zęby wilcze, zęby zgłodniałego, odznaczające się dziwną białością przy szaro zielonej cerze twarzy, jak gdyby zrozumiał, iż oczekiwano od niego zwierzeń.

— Słuchaj, kolego — rzekł — przestając nagle mówić „ty“ do towarzysza broni i odgadując w nim zapewne szczęśliwca i bogacza — kolego, przejdźmy się trochę wzdłuż drogi dla rozgrzania nóg, a powiem ci rzeczy, których zapewne nigdy kolega nie słyszałeś... Nazywam się Jan-Wiktor, Jan-Wiktor tylko, bo jestem znajdą i jedyne, jakie mam, dobre wspomnienie odnosi się do czasów mego pierwszego dzieciństwa, spędzonego w domu przytułku. W sypialniach były zawsze białe prześcieradła w naszycn łóżeczkach; bawiliśmy się w ogrodzie, w cieniu wielkich drzew, i była tam dobra zakonnica, młoda jeszcze, blada jak woskowa świeca, — zgasła zwolna na chorobę piersiową.

C. d. n.

Ofiara.

(Z rosyjskiego.)

III.

Michajłow wodził oczyma w różne strony, silne jego dłonie uchwyciły stołek, jak gdyby go miał użyć za broń morderczą.

Wolnym krokiem wyszedł Aleksy z pokoju. W drzwiach zatrzymał się i spojrzał wzrokiem poważnym na ojca, który jednak w tej chwili się odwrócił. Czując się samym, Michajłow śmiać się zaczął śmiechem piekielnym. Czy to sen? czy jawa? Prawdę — li syn mówił — czy też żartował?

Tam, w niewielkim oddaleniu obracają się koła maszyn, tysiące rąk pracuje, ciężkie wozy się toczą, zmęczone konie sapią — on sam oblicza, bada, zastanawia się, rozważa; schlebia i poniża się w obec tych, którymi gardzi, ponosi ofiary pieniężne, nie zna wywczasu i wytęża wszystkie swe siły duchowe i fizyczne w przeróżnym kierunku. — I to w jakim celu? Chyba po to, aby podtrzymać honor, znaczenie i bogactwo swego domu! Wszak ten dom będzie za lat kilka własnością tego syna, który nosi jego imię. A to imię

syn jego jedynak, dać chce ubogiemu, mizernemu dziewczęciu żydowskiemu! Chce on się z nią dzielić tem, co on, stary Michajłow, z takim mozołem i trudem zaoszczędził przez całe życie i z mrówczą skrzętnością naznosił!

Czyliż cała Moskwa nie śmieje się ze starego Michajlowa? Czy nie urąga mu każdy, kto tylko go zna, że wychował takiego błazna? Czy jego znaczenie i potęga całego jego stronnictwa nie stopnieją, niejako śnieg pod działaniem promieni słonecznych, po którym tu i owdzie nic innego nie pozostaje, jak tylko brudna kałuża, od której każdy się odwraca?!

Po trzech dniach stary Michajłow znowu przywołał do siebie Aleksego, a przywołał go dlatego do siebie, bo rozum jego mu dyktował, że słowa, które syn wyrzekł nie mogą polegać na prawdzie. Gdy usłyszał z ust syna, że trwa w swem postanowieniu, wylał na niego cały potok słów obelżywych i szyderczych.

Wybuchowi ojca, syn przeciwstawił swą czystą miłość, zachowując zimny spokój. „Niechajże będzie i tak; przypuszczam, że kochasz!“ mówił z ironią stary Michajłow. „Ale puść dziewczynę! Zaoszczędź mi i mojemu domowi wstydu!“

„Nie uznaję, aby to, co się stać ma, okrywało mnie, lub ciebie ojcze — wstydem. Lea przejdzie na naszą wiarę i ze względu na swą piękność i wielkie zalety ducha i serca stanie się cenną ozdobą naszego domu!“

„Niczem nie będzie, drągalu; póki jeden dech będzie w mojej piersi, póty ta żydówka nie przestąpi progu tego domu!“

„Jeśli tak, to dasz mi ojcze moją część spadku, a ja pójdę sobie! Opuszczę Moskwę, przyjmę kondycyę u kogoś innego i będę żył szczęśliwie z Leą!“

„Wypędzę cię, jak żebraka!“

„Jak ci się podoba ojcze! Posiadając miłość Lei, bogatszym zawsze będę od niejednego bogacza!“

Rzekłszy to, Aleksy wyszedł z pokoju.



ANDRZEJ KS. LUBOMIRSKI
kandydat na posła do R. P.

Głośne przekleństwa, miotane przez ojca, towarzyszyły mu.

„Aleksy jest niepoczytalnym!“ wołał stary Michajłow. „Muszę działać za niego!“ Okrywa hańbą siebie i mnie, jego starego ojca! Jednym zamachem burzy on całe dzieło mego żywota. Dla kogo zbierałem te bogactwa? Dla kogo moje znaczenie? Dla nikogo albo dla niego i . . .“

Zamiar, by zamknąć Aleksego w willi Mamonowa na jakiś czas, Michajłow po kilku minutach rozwagi, zarzucił, bo pozostałaby plama na młodym człowieku. Tak samo zarzucił on myśl, by udać się o pomoc do kahału. Drogę tę uznał za długą i uciążliwą, a widoki osiągnięcia pomyślnego rezultatu były niewielkie. Za czem innem szperał on w swej fanatycznej mózgownicy, za czemś, co za jednym zamachem uprzątnie zaporę. C. d. n.



PARK PILAWIN JÓZEFA HR. POTOCKIEGO.

Sobótka.

Z czasów przedchrześcijańskich jeszcze zachowały się u ludów słowiańskich w ogóle, a w szczególności u ludu polskiego, pewne zwyczaje, obrzędy lub zabawy, których dziś jest coraz mniej, ale które warto mieć na uwadze i to właśnie dlatego, że zwyczaje te, obrzędy i zabawy coraz bardziej zanikają.

Z zabaw tego rodzaju najwspanialszą być musiała s o b ó t k a w okresie świątecznym t. j. na Zielone Świątki. Kaznodzieja krakowski Jan ze Słupca powiada, że tańczą podczas Świątek w lecie niewiasty, śpiewając pieśń pogańską. Stwierdza ten obyczaj, jako jeszcze pogański, statut synodu krakowskiego z r. 1408. Na sobótkę, którą zawsze obchodzono wieczorem w sobotę przed jednem ze świąt letnich, zbierali się jeszcze w wieku XVI. wszyscy, zarówno kmiecie z wioski, jak drużyna i szlachta ze dworu, do ognia, roznieconego na pagórku za wioską. Ta łączność obyczajowa i charakter obrzędu gromadnego przebija się jeszcze w pieśni najznakomitszego poety polskiego w wieku XVI. Jana Kochanowskiego o sobótkach w Czarnym lesie:

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi.

W pieśni mazowieckiej sobótkowej słyszymy: „Tam dziewczęta się schodziły“; w pieśni znowu ludu podkarpackiego:

Kto na sobótce nie będzie,
Główka go boleć wciąż będzie.

Ponieważ sobótka jest niewątpliwie starodawną uroczystością słońca, które jako źródło życiodajnego ciepła i światła, od wszystkich dawnych ludów cześć odbierało, palenie więc stosów i igrzyska gromadne przy nich Polacy obchodzili w noc najkrótszą z całego roku, t. j. w przesileniu dnia z nocą. Oczywiście po zaprowadzeniu kalendarza chrześcijańskiego zwyczaj starożytny musiał się do świąt i świętych wiary chrześcijańskiej przystosować. W jednych więc miejscowościach obchodzono go na Zielone Świątki, gdzieindziej w przeddzień św. Jana Chrzciciela. I tak przez wiele wieków to widzimy. W roku 1846 n. p. król Kazimierz Jagiellończyk na żądanie opata Benedyktyńskiego świętokrzyskiego, zakazuje pogańskich uroczystości (sobótek) na Łysej górze w Zielone Świątki odprawianych. Tymczasem o kilka mil w Czarnymlesie sobótkę obchodzono około św. Jana, jak o tem wyraźnie zaświadcza Kochanowski, który utworowi swemu dał tytuł: „Pieśń świętojańska o sobótce“ i zwyczaj ten uważa za odwieczny, mówiąc: „Sobótkę, jako czas (t. j. czas dawny) niesie, zapalono w Czarnymlesie“. A dalej mówi znowu, nie widząc nic gorszącego w zwyczaju, który bynajmniej religii chrześciańskiej nie obrażał:

Tak to matki nam podały,
Same znowu z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy sobótka palona.

Uczony Marcin z Urzędowa, w drugiej połowie wieku pisze w swoim herba-

rzu czyli zielniku: „U nas w wilię św. Jana niewiasty ognie paliły, tańczyły, śpiewały, dyabłu cześć i modła czyniąc (!); tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki, paląc ognie, krzesząc je deskami, aby była prawie świętość dyabelska, śpiewając pieśni, tańcząc“. Nazwa sobótki nie była powszechną w Polsce. Lud n. p. mazowiecki i podlaski, nad Narwią i Bugiem zamieszkały, obrzęd ten znał tylko pod nazwą Kupal nocki. U mazurów nadnarwiańskich w wigilią św. Jana, po zachodzie słońca, gospodynie i dziewczęta, zebrane na łące nad strumieniem, rozpaliwszy Kupalnockę, patrzyły, czy zebrały się wszystkie; gdyby której nie było, tę uważano za czarownicę. Następnie biesiadowały, tańczyły przed ogniem i z każdego gatunku przyniesionych pęków ziół rzucały po gałązce w ogień, wierząc, że dym z tych ziół zabezpieczy ich od wszystkiego złego; resztę zabierały do domów, aby pozatykać w strzechy chat, obór i stodół. Około północy mocniejszy roznieciwszy ogień, pozostałe napoje weń wlewały, a jedna z dziewcząt wieniec, uwity z bylicy i ziół innych, rzucała na wodę strumienia, przyczem wszystkie zawodziły prześliczną starodawną pieśń:

Oj czego płaczesz, moja dziewczyno?
Ach, cóżci za niedola? i t. d.

Sobótka na Rusi zowie się Kupałą, a liczne ślady tego obrzędu z Wołynia, Ukrainy, Litwy i Białejrusi opisali nasi zbieracze rzeczy ludowych: Marcinkowski, Stecki, Eus. Tyszkiewicz i wielu innych, jak u ludu polskiego uczynili to uczeni zbieracze pieśni, podań i zwyczajów ludowych: Kolberg, Gregorowicz, Gloger i t d. Seweryn Goszczyński (ur. 1801 † 1876) osnuł cały poemat na tle sobótki karpackiej, a Wincenty Pol w „Pieśni o domu naszym“ opiewa „wielkie wianków święto“. Każdy naród, który chce życie własne rozwijać, ma obowiązek w swoich zabawach, rozrywkach i widowiskach podnosić i odtwarzać obrazy obyczajowe z przeszłości i zachowywać piękne zwyczaje dawne, a do takich należy u nas sobótka.

BAŚŃ.

Wiersz Or-ota.

Gdy zmrok wieczorny z blasków aniołem
Codzienną skończy waśń,
W liliowej bieli, z gwiazdą nad czołem
Na ziemię schodzi baśń.
Złocistą nicią ubiegłe wieki
Z dzisiejszym wiąże dniem,
Świat legendowy, jasny, daleki —
Fantazyi wskrzesza tchem.

Nad falą jezior, w lasów gęstwinie
Rusałek słychać śpiew,
Orszak chochlików w powietrzu płynie,
Śmieje się z poza drzew.
Siostra zabija siostrę rodzoną
Za świeżych malin dzban,
Ognie czerwone na górach płoną,
Lśni paproć w święty Jan.



KS. LEON „PASTOR
kandydat na posła do R. P.

Starzy bogowie, rycerze, mnichy
Budzą się z długich snów,
W miesięczny wieczór jasny i cichy
Na jawie żyją znów.
Odwieczne zamki brzmią hucznym gwarem
Przez dawnych zaklęć moc,
To, co umarło, powstaje czarem
W miesięczną cichą noc.

Co wiemy o trzęsieniu ziemi.

II.

Dawniej mniemano, że wulkany są wentylatorami, przez które wnętrze ziemi, otrzymuje powietrze rozżarzone i rozumiano, że w trzęsieniu ziemi powietrze to poszukuje sobie wyjścia na zewnątrz, gdy to zatamowanem zostało. Gdyby tak było w istocie, to najsilniejsze trzęsienia ziemi musiałyby mieć miejce w sąsiedztwie wulkanów, gdy tymczasem dzieje się przeciwnie i już Aleksandrowi Humboldtowi dziwnem się to wydawało, że drgania ziemi stawały się tem silniejszemi, im następowały w miejscach odleglejszych od wulkanów. Wreszcie istnieją okolice z wygasłemi wulkanami i w miejscowościach tych wstrząśnienia ziemi przejawiają się nie częściej, niż gdzieindziej. W Eifel i w okolicach jeziora Laach w Niemczech, wulkanicznego utworu, niema całkiem trzęsień ziemi, gdy tymczasem w miejscowościach od nich odleglejszych, wstrząśnienia często uczuwać się dają. Nie idzie zatem, aby kiedyś okolice Eifel, któregokolwiek dnia nie stały się widownią wulkanicznych wybuchów, gdyż o obecności elementów przewrotu we wnętrzu ziemi świadczą gorące, kwasem węglowym przejęte, źródła lecznicze nadreńskie. Jeżeli przypuścimy, że wulkany tam tylko powstają, gdzie tworzą się rozpadliny i szczeliny, do których rozpalone materye, z wnętrza ziemi pochodzące, wcisnąć się mogą, to wyjaśni się nam przyczyna nawiedzania trzęsieniami okolic wulkanicznych, a niemniej i ta, że wulkaniczne wybuchy pozostawać mogą w ścisłym związku z wstrząśnieniami aiemi. Rzecz to prosta, gdyż tam, gdzie juz raz potworzyły się rozpadliny i rysy, łatwiej już potem powtarzają się niż w miejscach, gdzie jeszcze skorupa ziemska nieuszkodzoną pozostała, mocniej się zachowała i silniejszy opór stawić mogła.

Gdzie takie rozpadliny potworzyły się, to jest w bliskości wulkanów, tam trzęsienia ziemi są częstsze, lecz, natomiast, słabsze i mniej gwałtowne, niż tam, gdzie siła skupiona w jednej chwili otwór sobie wierci i wszelki opór pokonywa Utrzymuje się mniemanie, że w blizkości wulkanów, im krótszy czas od wybuchu upłynął, tem mniejsza jest nadzieja, iż trzęsienie ziemi nie powtórzy się. Jakkolwiek to mniemanie nie zawsze się sprawdza, to jednak faktem jest, że taksamo w Neapolu i Sycylii, jak i u podnóża Kotopaxi, ludność dopóty obawia się trzęsienia ziemi, dopóki para i płomień z paszczy kraterów wulkanicznych bucha. D. n.



PARK PILAWIN JÓZEFA HR. POTOCKIEGO



NA CIERNISTEJ DRODZE.

VENI CREATOR!

Przyjdź, Stworzycielu! ognistym płomieniem,
Zestąp na czoła pochylonych ludzi,
I bądź im w piersiach iskrą—bądź natchnieniem,
Co życie budzi.

Wzruszone serca przenikaj zapałem,
Gorącem tętnem niech uderzą w łonie;
Niech się za prawdy, dobra ideałem
Wyciągną dłonie.
Niech tłum nie patrzy, w leniwym zastoju,
Na losów świata toczące się koła:
Rycerze ducha niech idą do boju
Z blaskiem u czoła!

Z wyniosłą złością niech się dumnie zmierzą
A odtrącając, co małe i liche,
Niech z podniesioną przyłbicą uderzą
Na nędznych pychę.
Nie dotykając zbrudzonej prawicy,
Na nikczemnego nie zachodząc progi,
Niech się nie boją rzucić rękawicy
Podłym pod nogi.



BOŻE! ZBAW POLSKĘ.

Zapaśnik cnoty, spieszący w te szranki,
Choć pierś nadstawia na ciosy i razy,
Niech wie, że uśmiech niebiańskiej kochanki
Będzie mu dany.
I niech wie jeszcze, że mu ta nagroda
Starczy za wszystko, co zostawił w tyle,
Bo jest, jak z bajki owa życia woda,
Krzepiąca w sile.

Ta, co olbrzymem czyni, gdy z jej zdroju
Raz się ktoś napił wpośród życia drogi:
Niezwyciężoność dając, wraz spokoju
Niesie dar błogi.
Przyjdź, Stworzycielu! i taką łaskę świętą
Przynieś na padół ziemi:
Pierś ludzi dobrej woli niech nie będzie ściśniętą
Trwogami bolesnemi.

Niech wszyscy, którzy wierzą i chowają nadzieję
Wszyscy, którzy kochają,
Idą drogą swą prostą, choć wiatr ostry
[w twarz wieje;
Wszyscy pokój niech mają.
Niech go biorą ci biedni, którzy w łonie gorącem
Noszą dusze zmęczone,
Co, jak kwiatów kielichy, obrócone za słońcem,



JE. DR. MICHAŁ BOBRZYŃSKI
kandydat na posła do R. P.

Patrzą w tęsknot swych stronę —
Czy Tytanów trud szczytny, czy głaz, z roli [dźwignięty,
Czoło oblał im znojem.
Wszystkim tym spracowanym, wszystkim tym, [Duchu Święty!
Namaść czoła spokojem;
I powstali z upadku i wytrwali w niedoli,
Nieprzystępni obłudzie,
Niech go wezmą na wieki wieków — ci do- [brej woli,
Serc i rąk czystych ludzie.

M. I.

Zapobieganie łysinie i jej zwalczanie.

Z wykładu prof. dr. O. L.

III.

Bądź co bądź nie jeden tylko proces prowadzi do zniszczenia porostu włosów, jest ich więcej, a każdy z nich toruje sobie drogę w inny sposób. Dawniej mówiono, a i dzisiaj jeszcze w podręcznikach naukowych jest mowa o najzwyklejszej formie t. zw. Alopecia praematura t. j. o przedwczesnym włosów zaniku. Nazwa ta jest raczej figurą opisową procesu, od bywającego się już w najwcześniejszej młodości, W rzeczywistości nigdy włos nie dojrzewa do tego stopnia, aby sam wypadł. Zmieniania się włosów, napotykanego u zwierząt, zależnego od szczególniejszych warunków w różnych roku porach, nie można odnosić do człowieka. Każde Defluvium capillitii jest nienormalne. Zdrowe włosy w ogóle nie wypadają. Jeśli na grzebieniu i w szczotce, na poduszce i sukniach zastaniemy własne włosy — jeśli pincetta i palce zdołają włosy wyrywać, chociaż przy tem się nie natężamy i nie odczuwamy żadnego bolu, wtedy napewno twierdzić można, że rozluźniło się spoidło tak, jak to ma miejsce w dziąśle, gdy ząb się chwiać poczyna. Gdyby na ten stan więcej uwagi zwracano, mielibyśmy o wiele mniej wypadków łysiny.

Zapobieganie łysinie zasadza się na wystrzeganiu się chorób włosów i na wczesnem zwalczaniu tychże chorób. Bardzo ważnem w tej sprawie byłoby usunięcie zdania, jakoby codzienna lub peryodyczna włosów utrata była czemś naturalnem lub sama przez się zrozumiałą. Przeciwnie, każdy włos powinien dopóty być na swojem miejscu, dopóki życie trwa, podobnie, jak to na swojem miejscu siedzi ząb lub paznogieć. Utrata jest znamieniem przedwczesnej destrukcyi. Powtarzające się i trwałe włosów wypadanie prowadzi do wygasania zdolności odnowy, a tem samem do całkowitej utraty włosów. Jedynie bezbolesność, powolny rozwój choroby usypia czujność, pokąd nie nastąpi raptowne pogorszenie się lub nawet nie wystąpi łysina. Rzecz inna, gdy na włosami porośniętej głowie rozwinie się jakaś choroba skórna jak: Herpes tonsurans, Favus, Psoriasis, Lupus erythematodes, Pediculosis i t. d. albo jako następstwo po przebytej chorobie: szkarlatynie, odrze, dyfteryi, tyfusie, kile.

Także, o ile ono dotyczy tych chorób, to w poszczególnych wypadkach zapoznawany bywa przyczynowy związek, bo zaburzenie, powodujące chorobę, która jest przyczyną, jak niemniej obfite wypadanie, które bardzo raptownie może się odbywać, oddziela nieraz przerwa kilkomiesięczna. W trzy miesiące po rozwiązaniu, po ośmiu lub dziesięciu tygodniach po przebyciu gorączkowej choroby, w bliżej oznaczyć się nie dających odstępach czasu, po kuracyi merkuryalnej itp. wypadają całe pęki, giną codziennie setki włosów. W rzeczywistości jednak potęguje się tylko to, co już przedtem miało swój początek. Temsamem można zapobiedz niejednemu, jeśli po chorobach zakaźnych, w okresie ozdrowieństwa, z góry zwróci się uwagę na możność wypadania włosów. W wszystkich tego rodzaju wypadkach w grze są kombinacye. Wydzielający się jad chorobowy sam działa. Równocześnie istnieje u dorosłych ludzi (z małymi tylko wyjątkami) nieżyt gruczołów, który, przybrawszy na sile, w krótkim przeciągu czasu może spowodować całkowitą utratę włosów. Tu stowarzyszają się dwie przyczyny. Dyspozycya zmieniła się w uchwytny sposób, jeśli owo tak powszechnie tolerowane słowo tak pojmiemy, że jest to ustrój, w którym tkanka i narządy znachodzą się w tym czasokresie, gdy oddziaływa na nie szkodliwość, która za sobą pociąga chorobę.

C. d. n.

R. K.

Bracia małego Mowgli.

Przekład z angielskiego.

Była siódma wieczorem po dniu upalnym, gdy ojciec Wilk obudził się ze swej dziwnej drzemki. Ziewnął, przeciągnął łapy zdrętwiałe. Matka Wilczyca siedziała z nosem, wsuniętym w kłębek, utworzony z czterech młodych wilcząt. Księżyc wpadał przez otwór do jaskini, w której żyła ta wilcza rodzina, a było to na wzgórzach Seconec.

— Aughr! — mruknął ojciec Wilk. — Czasby już wyjść na łowy.

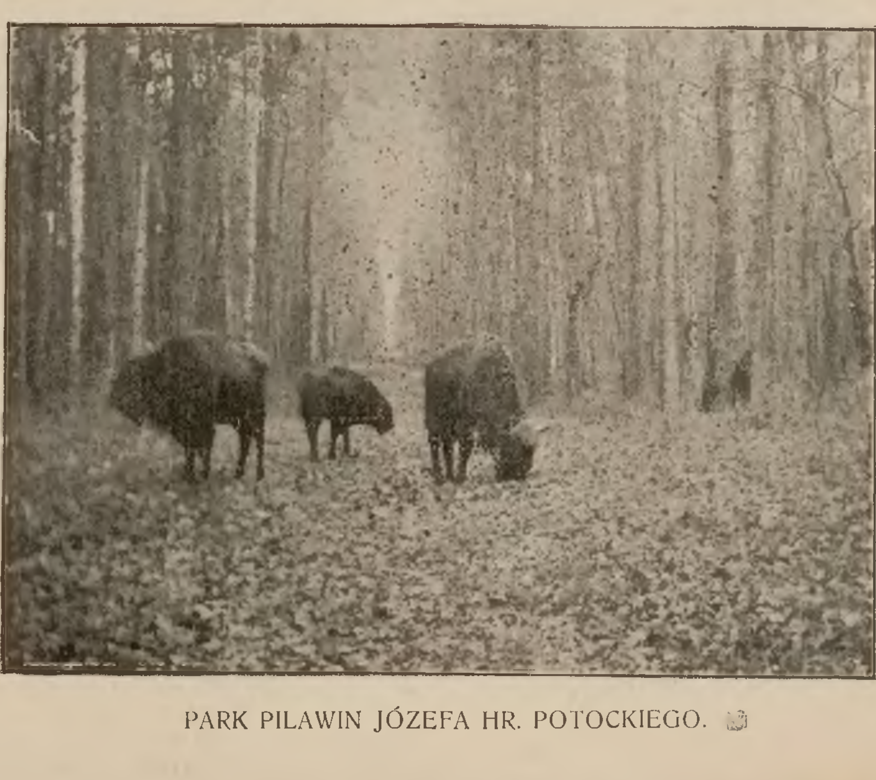
I chciał już wybiegnąć na dolinę, gdy mały cień o kudłatym ogonie zastąpił mu drogę i szczeknął:

— Powodzenia, wodzu wilków, powodzenia i silnych kłów twoim szlachetnym potomkom. Oby nie zapomniały o głodnych tego świata!

Był to Szakal-Tabakwi, ogryzacz kości. Wilki indyjskie gardzą Tabakwim, albowiem wszędzie go pełno, znosi plotki i wyjada niedogryzki i ochłapy ze śmietników przy wioskach.[1]

Ale też boją się go wszyscy, gdyż Tabakwi łatwiej od innych mieszkańców dżungli podlega wściekliźnie, a wtedy nie boi się już nikogo i biega po lesie i kąsa na prawo i lewo.

Nawet Tygrys ucieka, gdy mały Tabakwi dostanie wścieklizny. Wścieklizna jest największą sromotą, jaka może spotkać dzikie zwierzę.



PARK PILAWIN JÓZEFA HR. POTOCKIEGO.

My nazywamy ją wodowstrętem; w języku zwierząt zowie się ona dewanee — szałem i budzi wstręt i postrach.

— No, wejdź i przeszukaj kąty — odpowiedział ojciec Wilk wzgardliwie. — Ale cię uprzedzam, że niema nic do zjedzenia.

— Dla wilka, zapewne — rzekł Tabakwi — ale dla tak marnej osoby, jak moja, sucha kość bywa ucztą. My Gidurlog (naród szakalów) nie mamy prawa być wybredni. Bierzemy, co się pod łapę nawinie.

Wśliznął się do jaskini; w głębi jej znalazł ogryzioną kość sarnią i zaczął ją chrupać łapczywie.

— Dzięki za taką ucztę — rzekł wreszcie, oblizując się łakomie. — Śliczne dzieciny, choć jeszcze tak małe! Ha! Zapominam, że dzieci królów dorosłe są już w kolebce.

Otóż Tabakwi wiedział, tak jak i my wiemy, że niema nic gorszego, jak chwalić malców w oczy, i rad był, że te pochwały gniewają ojca Wilka i matkę Wilczycę.

Tabakwi przez chwilę siedział, ciesząc się z wyrządzonej przykrości, wreszcie dodał złośliwie:

— Wielki Shere Khan zmienił plac łowów. O przyszłej jesieni będzie ścigał zwierzynę na tych wzgórzach. Sam mi to powiedział.

Shere Khan, był to tygrys, grasujący nad rzeką Waingungą, o dwadzieścia mil powyżej.

— Nie ma prawa — zaczął ojciec Wilk ze złością. — Wedle ustaw dżungli, nie ma prawa zmieniać legowiska, nie uprzedziwszy wpierw gromady. Wystraszy całą zwierzynę o dziesięć mil dokoła, a ja... ja muszę teraz zabijać za dwoje.

— Niedarmo rodzona matka nazywała go Lungri (Kuternoga) — wtrąciła spokojnie Wilczyca. — Koszlawy jest od urodzenia i dlatego może polować tylko na bydło. Wieśniacy z Waingunga są na niego wściekli, więc przychodzi tutaj, żeby naszych rozłościć. W pogoni za nim całą dżunglę przetrząsają... On ujdzie cało, ale za to my i nasze dzieci będziemy musieli umykać, gdy trawy zapałą. Zaiste powinniśmy być wdzięczni Shere Khanowi.

— Czy mam mu wyrazić tę waszą wdzięczność — pytał Tabakwi spokojnie. Żałuję, żem się podjął zlecenia.

Ojciec Wilk nadsłuchiwał. Od doliny, zroszonej rzeczką, leciała gniewna skarga tygrysa, który nic nie ułowił i całej dżungli to oznajmił bez wstydu.

— Głupiec! mruknął ojciec Wilk. — Kto słyszał takim wrzaskiem rozpoczynać nocną robotę. Czyż sądzi, że nasze kozły są na podobieństwo tłustych wołów z Waingungi?

— Cyt! On dziś nie ściga ani kozła, ani wołu, tylko człowieka — rzekła matka Wilczyca.

Skarga przeszła w pomruk. Dochodził on jakby ze wszystkich stron dżungli jednocześnie. Ten pomruk zbija z tropu drwali i koczowników i wpędza ich czasem w samą paszczę tygrysa.

— Człowieka! — zawołał ojciec Wilk, błyskając białemi zębami. — Czyż mu zabrakło owadów i żab w sadzawkach, że zjada człowieka i to na naszym gruncie?

Ustawa dżungli, której każde prawo jest słuszne, zabrania zwierzętom zjadać człowieka. Dozwolonem to jest tylko na prośbę, żeby pokazać dzieciom, jak się na taką zwierzynę poluje, a i wtedy ściga się



JE. WOJCIECH HR. DZIEDUSZYCKI
kandydat na posła do R. R.

łup dwunożny po za obszarami, należącymi do gromady lub plemienia.

Przyczyną istotnego takiego rozporządzenia jest dbałość o własną skórę, albowiem po takich łowach na człowieka, w dżungli zjawiają się niebawem ludzie biali na wielbłądach, ze strzelbami i ludzie brunatni, zbrojni w zapalone pochodnie. A wtedy biada całej dżungli...

Taki jest powód istotny. Ale zwierzęta pomiędzy sobą przytaczają inny zgoła, tłumacząc, że skoro człowiek jest najsłabszem i najbezbronniejszem stworzeniem na świecie, to porywać się na niego jest rzeczą niegodną zwierzęcia.

Przekładają dalej, i to prawda, że zjadacze ludzi dostają parchów i tracą zęby.

C. d. n.



PARK PILAWIN JÓZEFA HR. POTOCKIEGO.

WŁODZIMIERZ SULIMA PORIEL.

Noc.

Zagasło słońce... noc odsłania lica —
Świat okrywając w kir ciemny — ponury,
Na niebie ledwie przez posępne chmury
Sierpek nowego widnieje księżyca.
Leciuchny wietrzyk czasem ziemię muśnie
I trąci smereki poważnie drzemiące,
Wydając szepty — jakieś jęki drżące...
Chwilami głośniej — chwilami znów uśnie.
Zajęczał smerek.... na cichej dolinie —
W dalekie światy, w dalekie hen strony,
Serdeczne łkanie i ból utajony
Ze szmerem wiatru ciemną nocą płynie.
W dali hen — wioska rozsiadła się mała,
W krąg otoczona krzewami zieleni,
Z okienek domostw światełko się mieni.
Lecz gaśnie rychło... Już we śnie wieś cała.
— — — — — — — — — — — —
Znów jęknął smerek płaczliwie nademną....
Westchnienie ciężkie pierś moją porusza,
A wiatr płynące łzy gorzkie osusza —
Zawodząc głucho żałośnie wraz ze mną.
I noc ta cicha, w której wietrzyk tylko
Żałośnie jęczy w smerekach drzemiących,
Nie zdoła uśpić w mem sercu drgających,
Serdecznych bolów, ani jedną chwilkę.
O losie srogi! Czy już w twym kołczanie
Wszystkie pociski dla mnie przeznaczone,

Że ranisz ciągle to serce zgnębione —
I życia mego zatruwasz zaranie?

— — — — — — — — — — —

Smerek łka dalej żałośnie nademną...
Przedziwne szmery z oddali gdzieś płyną,
A me westchnienia, mą skargę jedyną —
Wiatr niesie z sobą hen — nocą tajemną.

Nowy Targ 1907.

Nasze pokarmy jako środek leczniczy.

Pożywienie dostarcza materyału do budowy ciała. Im właściwszy materyał, tem trwalsza budowa. Zwierzę, kierowane instynktem, przyjmuje pożywienie, jakie mu przeznacza matka-przyroda. Ustrój ludzki, ulega przez lat tysiące wpływowi dawnej kultury i wymaga do utrzymania się przy zdrowiu *świadomego* zastosowania pożywienia do swoich potrzeb.

W pierwszym rzędzie pożywienie musi wprowadzić do ciała te materye, które mu są potrzebne do jego budowy i utrzymania. Każdy brak potrzebnych składników wywołuje zaburzenia, które nazywamy chorobami.

Głównymi składnikami pożywienia są: węglik, tlen, wodoród i azot.

1. Węglowodany składają się z węglika, tlenu i wodoru. Służą one do ogrzewania machiny ciała. Im więcej człowiek wysila się fizycznie, czy to pracą czy sportem (ćwiczeniami), tem więcej powinien on używać następujących potraw: mąki, chleba, cukru, jako pożywienia roślinnego, tłuszczu, jako wytworu zwierzęcego, oleju, jako wytworu roślinnego. Przy mniejszej pracy mięśniowej nie należy używać za wiele chleba, ani też potraw mącznych. Obciążają one jelita i wymagają znaczniejszej siły trawienia, która wytwarza się jedynie przy pracy fizycznej, a nie zajęciu siedzącem. Chleb, polewka i kluski przyczyniają się w ostatnim wypadku do stłuszczenia i ociężałości. Szczególniej zaraz po spożyciu tych potraw daje się uczuwać pewne znużenie.



JE. DAWID ABRAHAMOWICZ
kandydat na posła do R. P.

2. Substancye, wytwarzające tkanki, jak: b i a ł k o w rozmaitych swych formach, tworzą podstawę całej budowy ciała. Białko zawiera prócz trzech powyższych pierwiastków, także azot. Znajduje się ono w kościach, ścięgnach, mięśniach, krwi, limfie, jakoteż i nerwach. Otrzymujemy je, jako: mleko, ser, jaja, mięso, krew, od zwierząt; jako owoce strączkowe i klej roślinny ze świata roślinnego. Zawierają je nietylko ziarna i nasiona (orzechy), ale także jarzyny korzeniowe i liściaste, (cebula, czosnek, szparagi, śpinak) a szczególniej obfitują weń płody t. zw. mączaste.

Białka w ogolności mało potrzebujemy, gdyż służy ono tylko do odnawiania zużytych komórek ciała i krwi. Gdzie jednak skłaniają się jeszcze do odpartej już dawno teoryi białkowej i odżywiają się obficie mięsem, jajami, mlekiem i serem w tem przekonaniu, że tylko białko żywi i wzmacnia ludzki organizm, tam ciało przerabia to białko w miejsce węglowodanów na cieplik. Jest ono wtedy, jak mówi *Niemeyer*, w tym stosunku do ostatnich, jak węgiel kamienny do węgla drzewnego, lub drzewa. Wytwarza wprawdzie więcej ciepła, ale jako trudniej zapalne, wymaga tem większej czynności mięśniowej na świeżem powietrzu. Jeśli się go używa obficie przy siedzącym sposobie życia, lub silnem natężeniu nerwów, n. p. podczas pracy umysłowej, osadza ono znaczną ilość zepsutych materyi, które w przeciwieństwie do takichże materyi węglowodanów, działają nadzwyczaj trująco, (np. amoniak, kwasy moczowe i t. d.) Te wywołują przez zmieszanie się soków cały szereg zjawisk chorobowych, znanych pod nazwą podagry, reumatyzmu, nerwowości, piasku moczowego, cierpienia na kamień i t. p.

3. Obok wspaniałych czterech pierwiastków, bardzo łatwo się ulatniających, zawiera ciało nasze także cały szereg m i n e r a ł ó w, których wysokie znaczenie dla organizmu długo zapoznawano. Uważano je powszechnie za materye pozostawiające popiół. Tymczasem stanowią one niejako silny kit, łączący ulotne gazy w trwałą budowę. Na czele stoi tu *wapno*. Ma ono dla ciała to samo znaczenie, co przy budowie domu, dlatego znajduje się obficie we wszystkich jego częściach.

C. d. n.

Teatr miejski we Lwowie.

Pierwszy okres działalności nowej dyrekcyi teatru miejskiego uważać można za zamknięty. Nowych rzeczy wystawiać się już teraz nie będzie, godzi się tedy zastanowić, nad działalnością p. Ludwika Hellera w r. 1906/7.

Działalność znalazła uznanie w komisyi sejmowej i w Sejmie, działalność wywołała polemikę. Trzeba jednak oddać





ZE SPORTU.

hołd prawdzie i stanąć na gruncie bezstronnym.

Z pierwszorzędnych artystek ustąpiła tylko p. Wojnowska. Zaangażowane zostały pp. Siemaszkowa, Sosnowska-Ordon, Trapszo-Chodowiecka i od 15. marca br. p. Bednarzewska. Z pierwszorzędnych artystów weszli w skład personalu art. dram. pp. Fischer, Sosnowski, Szobert, Walewski i Wostrowski.

Repertuar nietylko nie uległ zmianie, przeciwnie był on bogatszy i więcej urozmaicony. Wystawiono 24 premiery — z tych utrzymało się 12 czyli 50%, co uważać się musi za wynik bardzo korzystny. Dyrekcya wystawiła sztuki oryginalne wybitnych autorów, jak: Kasprowicza, Krechowieckiego, Krzywoszewskiego, Obrzuda, Przybyszewskiego, Rittnera, Walewskiego, Wyspiańskiego, Zapolskiej, Żuławskiego.

Dzięki artystycznemu kierownictwu i umiejętnej reżyseryi frekwencya publiczności na przedstawienia dramatu podwoiła się, wynosiła ona bowiem 132.345.

P. dyrektor Heller dawał widowiska operowe przez 7½ miesiąca. Unikając poliglotyzmu, usilnie dążył do tego, aby śpiewacy-Polacy mieli możność występowania. W ciągu tego krótkiego czasu p. dyrektor Heller wystawił 3 oryginalne opery i 6 obcych. Nie spuszczał p. Heller z oka i sprawy orkiestry a najlepszym tego dowodem jeet fakt, że gaże orkiestry wykazują większy wydatek o 3199 K.

Nie zapomniał p. Heller i o przedstawieniach popołudniowych dla młodzieży szkolnej, zniżając znacznie ceny wstępu. Przedstawienia te były dawane w niezmienionej obsadzie, a więc w tej samej co wieczorne, cechowały je dobór sztuk i bardzo dobre wykonanie. Między innemi sztukami dane były takie sztuki, jak: Bolesław Śmiały, Chory z urojenia, Dziewica Orleańska, A Pippa tańczy, Śluby panieńskie, Warszawianka, Wesele, Królowa Tatr, i t. p.

W końcu kilka słów o szkole dramatycznej, utworzonej przez p. Hellera.

Przysłowie łacińskie powiada: „q u e m d i i o d e r u n t, p e d a g o g u m f e c e r u n t“ (Komu bogowie byli wrogiem, zrobili go pedagogiem) — w przysłowiu tem mieści się wielka prawda, że niema niewdzięczniejszej pracy, jak nauczanie. Zdolny malarz, rzeźbiarz, artysta, przemysłowiec, rękodzielnik i t. d. osiągnie przy swych zdolnościach pomyślne rezultaty swej pracy, inna sprawa z nauczaniem. Wyniki zależne są od materyału, od jego siły roboczej, zdolności pojmowania. Jedni w krótszym czasie pokonają trudności apercepcyjne i percepcyjne, drudzy potrzebują dłuższego czasu. Wyniki, które w pierwszych chwilach są mniej wydatne, mogą w przyszłości okazać się nader pomyślnymi. Trudno u nas stworzyć rzecz pożyteczną, nic łatwiejszego jak znicować najuczciwsze chęci, najlepsze zamiary.

(s)

Samobójstwo pod oknem kochanki.

We wiosce francuskiej zaszedł przed kilku tygodniami ciekawy wypadek samobójstwa oficera. Oficer zakochał się szalennie w córce właściciela dóbr. Panna darzyła go równą miłością, lecz rodzice ani słyszeć nie chcieli o związku, gdyż oficer miał być człowiekiem lekkomyślnym. Zrozpaczony oficer postanowił odebrać sobie życie wśród niezwykłych okoliczności. Sprowadziwszy grajków miejscowych, kazał odegrać im marsza wesołego pod oknem kochanki — zaledwie jednak przebrzmiały ostatnie tony marsza, celnym wystrzałem, skierowanym w samo serce, życie sobie odebrał.

Kronika.

Wybory.

Ogółem wybrano dotąd z krajów koronnych, należących do Cislitawi, wyjąwszy nasz kraj 231 posłów, a w 168 okręgach przychodzi do wyboru ściślejszego.

Z wybranych należą:

7 posłów do niem. stron. postęp.
5 „ „ niem. stron. lud.
59 „ „ stron. chrz.-społ.
57 „ „ socyalnej demokracyi
28 „ „ kat. centrum
4 „ „ stron. Młodoczechów
2 „ „ „ Staroczechów
1 „ „ cz. narod. soc.
6 „ „ stron. czeskich agrar.
4 „ „ „ „ kat.
9 „ „ „ niem. agrar.
3 „ „ „ woln. Wszechn.
6 Rusinów
2 Rumunów
10 Włochów
19 członków słoweńsk. stron. lud.
4. słoweńsk. liberałów
1 bezpartyjny
1 wolnomyślny
1 polskie stron. kat.
1 niem.

Dnia 14. maja odbywały się również wybory w 18 okręgach wiejskich naszego kraju. Dotąd wybrani zostali: J a n S i w u l a ludowiec; J a k ó b B o j k o ludowiec; A n t o n i P a d u c h ludowiec; ks. K o p y c i ń s k i centrowiec, K u r y ł o w i c z moskalofil, B a r t ł o m i e j F i e d l e r, Rada narodowa; T r y l o w s k i, ruski radykał: dr. K o l e s z a, ukrainiec; M i c h a j ł o P e t r y c k i j, redaktor Hajdamaków i Eustachy Zagórski.

Jak dotąd to w kraju naszym na zachodzie ludowcy, na wschodzie radykali ruscy osiągnęli stanowczo przewagę;

2) okręgi polsko-ruskie w Galicyi wschodniej są dla Polaków zagrożone, wskutek rozbicia głosów przez ludowców i syonistów;

3) Centrowcy ponieśli w okręgach zachodnich stanowczą porażkę;

4) Okręgi dwumandatowe okazały się korzystnymi dla żywiołów umiarkowanych;

5) Przebieg wyborów był nadspodziewanie spokojny, pomimo że udział wyborców w głosowaniu był olbrzymi.



LUDWIK HELLER
dyrektor teatru m. we Lwowie.

Z muzyki.

(Występ p. Maryli Schlesingerównej).

Jednym z najbardziej udałych wieczorów amatorskich śmiało można nazwać przedstawienie, urządzone w Kasynie urzędniczem. Główną przyczynę powodzenia przypisuję nie programowi, (który nie był

niestety dość artystycznie ułożony) tylko grze i śpiewowi wykonawców-amatorów, a w pierwszym rzędzie występowi uroczej panny M a r y l i S c h l e s i n g e r ó w n e j. Młoda ta śpiewaczka wykazała przedewszystkiem znakomitą swobodę ruchów i doskonałe obeznanie się ze sceną, które to zalety pochodzą nie tyle może z praktyki, ile z wrodzonego ogromnego nerwu scenicznego i szczerości prawdziwie artystycznej. Przytem ładniutki jej głosik i widoczna muzykalność każą przypuszczać, że niedługo usłyszymy tę młodą artystkę z odpowiedniejszego dla jej talentu terenu — ze sceny teatru miejskiego — dla której może być bardzo cennym nabytkiem; myślę o operetce, tej biednej naszej, której brak świeżych, młodych i muzykalnych głosów.

Bardzo dobrym partnerem p. Schlesingerównej był pan S c h i n d l e r, który grał i śpiewał z dźwiękiem i wykazał głos tenorowy o sympatycznem brzmieniu.

Całość przedstawienia wypadła w ogólności bardzo dobrze i zrobiła na licznie zebranej publiczności wrażenie jak najlepsze, nie brakło więc kwiatów, oklasków itd.

Dla ścisłości podaję program wieczorku. Złożyły się nań „Poskromiona narzeczona“ bardzo mało warta „bomba muzyczna“; krotochwila ze śpiewami „O chlebie i wodzie“ i pełna swojskości i szczerej poezyi komedyjka ze śpiewami p. Wł. Bełzy, powszechnie znanego i lubianego poety-jubilata.

Jar. Leszczyński.

* * *

(Z muzycznego ruchu wydawniczego: J a n S k r z y d l e w s k i. I m p r e s s i o n s m u s i c a l e s.)

Jedna z najruchliwszych księgarni muzycznych w Galicyi, księgarnia p. A. P i w i a r s k i e g o i S p. wydała oprócz utworów Ign. Friedmanna, Noskowskiego i wielu innych, utwory fortepianowe p. J a n a S k r z y d l e w s k i e g o. Kompozytor ten znany jako doskonały profesor i kierownik wyższej szkoły fortepianowej we Lwowie, cieszy się popularnością, jest także znany ze swoich szlachetnych tendencyj artystycznych. To też piękne utwory jego znalazły szczere zainteresowanie wśród jego uczniów, uczenic i licznego grona znajomych. I nie zawiedliśmy się, gdyż kompozycje p. Skrzydlewskiego okazały się utworami, pełnemi wartości artystycznej i głębokiego nastroju.

Zawiódłby się ten, ktoby szukać tu zechciał rozdźwięków modernistycznych i wyszukanych harmonii lub też nadzwyczajnych kombinacyi polifonicznych.

„Impresye muzyczne“ są pozbawione wszelkich efektów dziwacznych, pomyślane szlachetnie, odznaczają je, oprócz wyżej wymienionych zalet, w pierwszym rzędzie przejrzystość formy i nadzwyczajna przystępność. Nawet średnio zaawansowani pianiści mogą pokonać te utwory, byle tylko zdołali przejąć się duchową stroną utworów i oddać je z należytym artyzmem. „Impromptu“, rzecz rozpoczynająca zbiorek impresyi, odznacza się w części technicznej wcale dobrem wyzyskaniem motywu głównego, który, ukazując się w coraz to innej szacie, tworzy całość bardzo zajmującą. Pod względem wykończenia całości stawiam je obok „C h a n t d u P a s s é“, które mi się najlepiej podobało ze wszystkich impresyi tego zbiorku. Cokolwiek przydługa „I d y l l e“ i swojskie „C r é p u s c u l e“ stanowią trzeci i czwarty numer zeszytu. Kompozycye te, napisane w stylu łatwo dostępnym dla każdego słuchacza i grającego, powinny znaleść jak największe rozpowszechnienie wśród naszej publiczności i skutecznie wypierać różne bezmyślne „Salonstücke“, któremi jest cały polski światek muzyczny zalany.

j. l.



MARYLA SCHLESINGERÓWNA.

RUSIN O POLCE.

O! nie znasz jej
Uroczej tej
Co ma szalonej miano.
Gdy będziesz znał
Tej Polki szał
To zegniesz w lot kolano.
W pięknych oczach jej obaczysz
Najcudniejszych marzeń świty
I nienawiść przeinaczysz
O! przetwardy i zabity.
Bo władzę ma
Rozkoszna ta
Sarmackich ojców córa,
Wszak oczy masz,
Więc patrz w jej twarz,
Gdy tańczysz z nią mazura.
Wtedy serce odpancerzysz
I rozlany w szał balowy
Wszystkie zęby swe wyszczerzysz —
Ty Rusinie twardogłowy.
W radości dniach
I smutków łzach
Zapragniesz córki Lachów;
Ma bukiet róż
A w chwilach burz
Ma zapał matki Grachów.
A gdy ust płomiennych słowy
Wzniesie ciebie pod błękity
Ty zapomnisz w gębie mowy
Chłopcze twardy i zabity.
Ach poznasz ją
Gdy duszę swą
W radosnem da ci słowie —
A teraz śnij
I dzbanem pij
Szalonej Laszki zdrowie.
Polka umie ogień wzniecić,
Tak że twoja „złoba“ minie,
Tak żeś gotów sam polecieć
Do powstania mój Rusinie.

Stebelski.

Opilstwo w Niemczech.

Niemcy odznaczali się wielką niewstrzemięźliwością w użyciu spirytusowych napojów. Już Karol Wielki († 814) musiał nakładać surowe kary na całe prowincye za rozpajanie się miodem, a Luter mawiał: „Każdy kraj ma swego dyabła, a dyabłem niemieckim jest trunek, i on będzie złym duchem Germanii, aż do jej końca. Jakoż opilstwo było w Niemczech jakby otaczane opieką narodu i rządów. W kołach studentów niemieckich w t. zw. „burschenszaftach“ istnieje osobny kodeks piwny, który nakazuje studentom wypijać pewną ilość piwa. Akcyę przeciw pijaństwu w Poznańskiem prowadzoną przez Polaków, uważają Niemcy za niebezpieczną propagandę rewolucyjną, zwłaszcza bardzo rozgniewał ich ostatni wiec (z maja z. r.) poznański przeciw pijaństwu i karciarstwu, którzy uważali jako specyalnie zwracający się przeciw towarzyskiemu pożyciu Polaków z Niemcami.

Podczas wojny trzydziestoletniej (1618 do 1648), opilstwo stało się plagą; po raz pierwszy zaczęto używać wódkę, a była ona najgorszego gatunku. Rozpijali się żołnierze, lud, chłopi, mieszczanie, baronowie, rycerze i książęta.

Piwa w Niemczech, araku zaś w miastach portowych, naród filozofów i „największej kultury“ wypija całe morza.

A w pijatykach, ciągnących się od 7 w nocy do rana, biorą udział kobiety i dzieci nieletnie.

Tak w brutalnej atmosferze rośnie opuchły piwem lud, co tak chętnie i pretensyonalnie zwie się przodownikiem kultury,

Koniec działu redakcyjnego.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor
Maksymilian Schlesinger.

Z drukarni W. A Szyjkowskiego ul. Kopernika 5.